ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE.

Ner 94. — DODATEK DO KORRESPONDENTA. — 1834.

BANKRUT.

Z francuzkiego Pana Jacob, znanego pod nazwą: Bibliophil.

(Ciąg dalszy.)

Chwycił się nareszcie ostatniego środka, to jest: zamierzył sobie życie odebrać; napisał list z pożegnaniem do swej żony, ustanowił mię opiekunem swych dzieci i porwał szpadę, której koniec obrócił do piersi; lecz w chwili, kiedy miał ją w nich utopić, odwrócony został od swego zamysłu kupami rozrzuconego na stole złota: pomyślał, że śmierć jego może przywieść do nędzy jego żonę i dzieci. Tym bolesnym obrazem zmiękczyła się jego stałość, i chcąc uniknąć gołej szpady, pobiegł do okna i otworzył je. Zimno nocy ochłodziło gorączkę jego myśli; wolniej oddychał i przestał na chwilę wzdychać, chcąc się chwycić drugiego zamysłu, który z początku ze wzgardą odrzucił; wszystkoby raczej był przyjał, jak ubóstwo; byłby się na niesławę wystawił, nie byłby się nawet z pod hańbiącego uchylił wyroku, byleby tylko rodzina jego miała chleb, byle Anna jego nie musiała znosić niedostatku; niezbędną rzeczą było złoto dla istot, które kochał. Nigdy nie doznawał tak żywej, tak dokuczającej bojażni nędzy, która go niegdyś z daleka wśród obfitości bogactw prześladowała, wnet poczciwość swoją pogodził z hańbiącem bankruta imieniem — tyle kochał swe dzieci i swą żonę, nade wszystko żonę, która go do życia przywiązała, żonę, którą, by miał w nędzy widzieć, nie mógł na sobie przenieść. Jeźliby z nią uciekł, zabrał z sobą, ile mógł, pieniędzy, udał się daleko za morze, aby tam dokonać skalanego wspomnieniem chytrego bankructwa żywota, to przynajmniej cieszyłby się na łonie swojej familii, pomimo pogróżek opinii i hańby swego występku, byłby przynajmniej jeszcze szczęśliwy. Cmentarz *St. André des Arcs*, który miał przed oczyma, nie sposobił go do rozważań smutnych; przeciwnie, grobarz, który kopał grób przy świetle latarni, zapewne dla kogoś na jutro, i śpiewał przytem głosem jednostajnym, natchnął go projektem, w samem poczęciu dojrzałym; korzystał z czasu, w którym grobarz wrócił do swego pomieszkania, i przejrzał wszystkie miejsca cmentarza, groby, furty i oparkanienie; dostrzegł, że okno jego tylko o dziesięć stóp wzniesione było nad ziemię, szukał potem oczyma długiego powrozu, którym spuszczają trumny do grobu; wszystko było wprzód przewidziane i postanowione. Skoro grobarz skończył swoją robotę, nie zabrawszy jeszcze naczyń, P. D* wskoczył na cmentarz, koło którego w przyległych domach nie świeciło żadne światło, postawił drabinę przed swojem oknem, potem poszedł wykopać umarłego, wczoraj pogrzebanego, i zakopawszy nazad próżną trumnę, wziął obnażonego trupa na

swe plecy i zaniósł go do swej komnaty. Tu ujrzał, że przypadkiem pomyślnie mu się powiodło: trup był zwłokami młodego mężczyzny, którego choroba nie zeszpeciła, i który był takiego jak on wzrostu. Zdjął z siebie suknie, aby w nie przyodziać zmarłego, posadził go przed stolikiem w postaci piszącego, potem zlazł oknem po drabinie na cmentarz, odbił zamek u jednych drzwi z cmentarza na ulicę, i wrócił nazad do swego gabinetu, gdzie przygotowania były zupełne, a wykonanie ich równie szybkie jak zręczne. Odział się w najstarsze suknie i napełnił złotem szkatułkę. Na wieży kościelnej wybiła druga, do dnia było jeszcze daleko; usiadł do napisania listu do swojej żony, do Filipa de Mellevas i do mnie; papier zroszony był łzami. Z uderzeniem czwartej godziny wstał, przeszył szpadą piersi zmarłego, podłożył mu pod brodę pistolet tęgo nabity i wypalił tak, że wystrzał roztrzaskał od dołu do góry twarz, której krwawe szczątki rozleciały się po meblach i aż do sufitu; Pan D* przekonawszy się, że twarz tak pokaleczona była nie do poznania, rzuciwszy pistolet przed nogi trupa, wyskoczył na cmentarz, dopadł drzwi i zniknął.

Pani D* nie spała, z trwogą słuchała każdego szelestu i stuku, pochodzącego z komnaty, gdzie się mąż jej zamknął, co chwilę poglądała na zegar i klęła powolność skazówki godzin; dzieci spały oboje koło niej. Wtem wystrzał broni ręcznej rozległ się strasaliwie śród ciszy nocnej: nagle zerwała się, złożyła ręce z błagającym wykrzykiem, nie mogła ani się ruszyć, ani myśleć; z wyciągnionemi ramionami, zamkniętemi oczyma, gębą otwartą, stała jakby w osłupieniu: była to pierwsza chwila przestrachu; potem, krzycząc przeraźliwie, rzuciła się ku komnacie. Rygiel był zasunięty, drzwi zamknięte na zamek; stukała razem pięścią, kolanem i czołem, wołała męża głosem żałośliwym, lecz przestrach jej wzrastał milczeniem, w którem się krzyki jej gubiły; porwała siekierę i tak mocno uderzyła nią o drzwi, że się z trzaskiem rozwarły.

Nieszczęśliwa aż nadto dobrze los swój przeczuła: mężczyzna leżał zwalony przed krzesłem, z twarzą, wystrzałem pistoletu strasznie pokaleczoną. Rzuciła się na niego w rozpaczy, zlewała łzami te masę ciała skrwawionego, która już nic w twarzy nie miała ludzkiego, obejmowała ramionami to ciało, już od 24 godzin zimne; chciała ogrzać ostygłe i strętwiałe jego ręce, szukała bicia serca, od wczoraj już przez życie opuszczonego; — była szalona, mówiła do niego, błagała go, czekała odpowiedzi; zdawało się jej, że czuje bicie serca, lecz wyczerpawszy skąpe źródło omamienia, zemdlała na trupie, którego z uniesieniem ściskała. Trudno było ją oderwać, gdy ją nieruchomą i zlodowaciałą znaleziono; w tym stanie zaniesiono ją do łóżka. Z tego moralnego, równie jak fizycznego otrętwienia na to się tylko ocknęła, aby zapaść w spokojne obłąkanie: obwiniała się o zamordowanie swego męża. Posłano po nas, po Filipa i po mnie, skoro tylko słudzy ochłonęli z przestrachu, i przybyliśmy natychmiast oba razem, każdy z swej strony, oba równie dotknięci nowiną o tak okropnym wypadku. Listy do nas, któreśmy przy zmarłym znaleźli, źle nam wytłumaczyły przyczynę samobójstwa, które Filip przypisywał zazdrości, a ja ambarasom pieniężnym. Z oglądania psującego się już ciała żadnego nie powzięliśmy podejrzenia, i najmniejszej nie mieliśmy wątpliwości, że to był on sam, ile, że służący, pootwierawszy okna, uchylili wszystko, coby nas mogło było naprowadzić na jakiś ślad oszukaństwa. Urzędnik i lekarz, którzy byli przywołani, zapisali do pro-

tokułu śmierci, że Pan D* wycelował pistoletem tak dobrze, iż nie mógł chybić i ani chwili przeżyć swojej rany. Wszyscy podpisali to oświadczenie.

Obecność nasza, a osobliwie Filipa, przyniosła Pani D* ulgę. Rozpływała się we łzach, widząc nas stojących w milczeniu przy jej łóżku, i łzy te osłabiały stopniowo przesilenie nerwowe, które ją co chwila porywało; wyciągała do nas ręce, któreśmy z umysłu ściskali; rozmawiała z nami o przyjacielu, którego utraciła; wyrzucała nam, żeśmy nie odkryli nieszczęsnego zamysłu naszego przyjaciela; opowiadała nam, jak straszliwy obraz ujrzała otworzywszy komnatę; chciała, aby jej przeczytać list, do niej napisany; ucałowała go z uszanowaniem i tylko z wielkim żalem mi go oddała. List ten, zlany łzami, krwią zbroczony, przeczytano i wysłuchano go jak testamentu:

»Anno, moja żono! moja najlepsza przyjaciołko! muszę cię opuścić!... wszelako nie przygotowałem się na to bolesne rozłączenie; nigdym nie myślał, żeby nieprzewidziane wypadki mogły się targnąć na nasze szczęście; spodziewałem się umierać z tobą, równie jak długo byłbym żył z tobą! lecz nie wiedziałem, ile los ma twarzy przeciwnych. Wczoraj jeszcze szczęśliwy i spokojny na łonie mej żony, moich przyjaciół, dziś nędzny i rozpaczający między szpadą i pistoletem. Bądź zdrowa, moja Anno! bądź zdrowa na długo, niestety! ponieważ chcę się zabić, chcę i muszę się zabić; jestem zrujnowany, jestem zhańbiony! rozumiesz ty to?.. ten majątek, który z ukontentowaniem gromadziłem dla ciebie, dla naszych dzieci, majątek ten, który wiele przechodził skromne potrzeby nasze, pochłonęły kilka bankructw i jedno rozbicie okrętu! jesteśmy zrujnowani, mówię ci, i jutro może nieubłagani wierzyciele przyszliby wydrzeć mię z łona mojej rodziny. Umierać! jakże straszne jest to słowo, gdzie jest tyle przyczyn do życia, kiedy myśl śmierci zawsze się od siebie oddalało! daremnie szukałem drogi mniej dla nas okropnej, aby ujść tego niezbędnego skutku mojego położenia; wszystkiegom doświadczał, nim konieczność samobójstwa przypuściłem. Mellevas i Jacob nie mają i dwudziestej części summy, potrzebnej do załatwienia moich interesów; zresztą nadto ich kocham, abym miał ściągnąć rękę do uszczuplenia dobrego ich bytu. Ludzie, którym mogłem zrobić przysługę, zapomnieli na to, lub wzięli się do niewdzięczności, jak do rzemiosła; nie otrzymałbym ani zwłoki, ani ulgi, ponieważ upadek mój nadto był nagły, aby mogli dać temu wiarę. Nie mam więc nadziei, jak tylko w śmierci, która skończy te udręczenia pieniężne, do których zniesienia nie miałbym odwagi. Dla ciebie pozostanie twój posag i to, co prawo zapewnia naszym dzieciom; resztę podzielą między siebie moi wierzyciele.— Anno! wiesz, że miłość moja ku tobie była zawsze stałą, i że byłbym życzenia moje na tym ograniczył, abym cię do zgonu kochał i uwielbiał... Przebacz mi pierwsze i ostatnie zmartwienie, które ci sprawiam, przebacz, że niosę ofiarę dla honoru moich kochanych dzieci. Nie dowiesz się wcale o trwodze, udręczeniu i walce z samym sobą, które musiałem przebywać, aby do tego okropnego dójść postanowienia; bałem się, abym nie zwiększył i nie przedłużył twojej boleści, która wszakże jest dla mnie pociechą, ponieważ nie wątpię, że mię kochasz. A więc: Anno! chociaż to jest bez wątpienia tyraniją, lecz umierający mają to najwyższe prawo: Żądam, abyś przed upłynieniem roku twego wdowieństwa nie poszła za mąż, żądam nawet, abyś do tego czasu nie do kogo innego, tylko do mnie należała. Próba ta nie przechodzi sił twoich... Bądź zdrowa na długo! żegnam cię, całując cię sto razy!... Jakżem nieszczęśliwy, nie mógłem, u-

»mierając, ani ciebie, ani synów moich uści»skać!... Bądź zdrowa, zacna, zacna przyjaciół»ko! obyś tak była szczęśliwą, jak zasługujesz! »Ostatnie tchnienie moje do ciebie należy!«

List ten, chociaż czytany z ociąganiem się i z układem, jakich nie widać w słowach, na prędce naprzeciw lufy nabitego pistoletu napisanych, sprawił wszakże na czułej Pani D* bardzo żywe wrażenie: tarzała się na łóżku w konwulsyjach. »Tak jest, ślubuję i przysięgam!« powtarzała w obłąkaniu; »mój przyjacielu! mój biedny mężu!... nikogo! nigdy! nawet jego! o! nie!...«

Tymczasem oddano mi list z Bretanii, pod adresem P. D*, rozpieczętowałem go, i przeczytawszy, wziąłem się za głowę, krzycząc: »Ach biedny!« dałem potem list ten, za późno przybyły, Filipowi, który go zgniótł na miazgę, wzdychając, lecz treść onego ukrył przed Panią D*, aby do jej żalów nie przylać nowej goryczy; serca nasze złączyły się w złorzeczenie złowieszczemu tych listów pisarzowi:

»Mości Panie! mam szczęście donieść Panu, »żem się nadto pospieszył z udręczeniem go »złą nowiną. Wczorajsze doniesienie moje u»ważaj za niebyłe i żadne. Okręt ten, nale»żący do Wćpana, o którym mówiono, że się »rozbił na skałach wyspy Seiyn, doznał lek»kiego tylko uszkodzenia! Ładunek nie poniósł »szwanku, i jutro okręt ten stanie w naszej za»toce. Podług obecnych cen spodziewam się, że »towary jego będą bardzo drogo sprzedane. »Przebacz mi Wćpan, żem go płonnego naba»wił strachu, lecz przyczyną tego błędu była »jedynie moja gorliwość.«

List ten, podpisany przez kupca z Brestu, piorunem mię przeraził, a myśl, że Pan D* byłby jeszcze żył, gdyby był kilka tylko godzin zaczekał, myśl ta bardziej jeszcze zatruła moją po przyjacielu żałobę. Filip zaś, bardziej ode mnie egzaltowany, chciał już istotnego zabójcę wyzwać na pojedynek; umówiliśmy się nie powiadać nic Pani D*, że bogactwa, które mąż jej życiem przepłacił, z nim nie zginęły. Z większą coraz stałością znosiła wielkie swoje nieszczęście, a przekonywające namowy Filipa były od moich skuteczniejsze; to prawda, że głos jego był wdzięczniejszy, wzrok potężniejszy, a ręka bardziej przyjacielska. Anna z wdzięcznością przyjęła go za towarzysza w swojem wdowieństwie.

Samobójstwo Pana D* opowiadane było w gazetach z szczegółami kłamliwemi i przesadnemi. W owym czasie stawiano przed sądem zmarłych o samobójstwo obwinionych, a na tych, którzy byli prawnie o to przekonani, wydawano wyrok pośmiertny, którego najmniejszym skutkiem była haniebna pamięć; często skazywano na szubienicę w obrazie, ponieważ samobójstwo na równi kładziono z morderstwem. Tymczasem za wstawieniem się moich przyjaciół, Pan D* uszedł pręgierza i szubienicy. Arcybiskup paryzki, któremu szczególną o to podałem prożbę, zniósł zakaz pochowania zmarłego i rozkazał, mimo oporu Plebana *St. Andre des Arcs*, aby Pan D* był pogrzebiony na cmentarzu, a tak ciało powróciło w to samo niemal miejsce, z którego było ukradzione. Ja trudniłem się tym smutnym obrzędem, a Pani D* słyszała z swego łóżka głos dzwonów i śpiewy księży, idących za karawanem.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

Groby tureckie.

Zawój, słup i wiersz z koranu za napis, zdobią grobowce Islamitów, bądź po cmentarzach, bądź w pustyni. Często po gór wąwozach napotykają się podobne pomniki: bywają to zwykle mogiły ofiar rozboju lub zemsty.